

# Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

7 (Ciąg dalszy).

— A teraz dziękujmy Bogu za łaskę — zawołała Hania — i układajmy plany. Ja chcę być pierwszą w posłudze, użyjcie mnie tam, gdzie największe będzie groziło niebezpieczeństwo.

— Dziecię moje — rzekła uspokojona nieco baronowa, jeżeli Bóg dozwoli, że Ryszard wydobydzie się z więzienia, musisz z nim razem uciekać, aby nie był samotny. Dlatego przygotuję wszystko zawnazę tak, byście mogli wziąć ślub tajemnie. Nasz pleban nie odmówi nam tej łaski, jestem tego pewną i połączę was węzłem małżeńskim, dlatego staraj się widzieć z ojcem, aby ci użyczył błogosławieństwa.

## Dawni znajomi.

Tymczasem w opustoszałym domu w lesie, gdzie zamordowano Izabellę, siedziała w parterowej izbie Czerwona Maryna, ze synem swoim Ludwikiem. Był to chłopak dwudziestokilkoletni, rośli baryczysty, o twarzy brzydkiej, wstretnej, ponurej. Rude włosy; małe, zezowate oczy jeszcze bardziej go szpeciły. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to istota znikczemniała, zezwierzęcona, że to zbrodniarz zatwardziały.

Ubranie miał podarte, zmięte brudne. Siedział w czapce na głowie, wyciągnął nogi przed siebie, ręce trzymał w kieszeniach i pogwizdywał aryjkę z jakiejś plugawej, szynkowej piosenki.

Czerwona Maryna siedziała na przeciwnym krańcu stołu i spoglądała na syna bojaźliwie.

— Po coś ty tu wrócił, Ludwik? — szeptała — po co? Jeżeli cię tu gdzie spostrzeżę, zwróci się podejrzenie na ciebie.

Ludwik przestał gwizdać i, zamiast odpowiedzieć, zamruczał coś niezrozumiale.

— Bo i czego ty tu chcesz? — mówiła Czerwona Maryna drżącym głosem. — Czy nie boisz się jej ducha?

— A czy ja taki głupi, żebym w duchy wierzył? co też matka pleciesz? Ot, lepiej daj mi pieniądze!

— A skądże ja ci wezmę? przecież zabrałeś wszystko ze szkatuły, a co tam jeszcze gdzie było, to zabrała komisya. Odejdź, Ludwiku, odejdź, Mnie się wciąż zdaje, że jej dusza włóczy się po całym domu dlatego, że ty tu przyszedł. Czy nie słyszysz, jak tam na górze coś chodzi?

I blada, drżąca, nadsłuchiwała Czerwona Maryna, a twarz jej wykrzywiła się śmiertelnym strachem. Ludwik uśmiechnął się szyderczo.

— E, e, e, co też matka bajasz. A czy to ludzie po śmierci chodzą?

— Oj, synu! synu! pocóżes ty ją zamordować? Zaledwie cię wypuścili z więzienia, znowuś głupstwo zrobił, a jeżeli się to wyda...

— Ej, coby się tam wydać miało — odpowiedział Ludwik i rozśmiał się bezwstydnie. — A toć przecie chwycili barona i trzymają. Ej, to mi się sztuka udało. Kiedy on tam gruchał z tą wiedźmą, to ja mu wyciągnąłem sztylet z płaszcza, no i wzięli jego, a ja sobie gwizdam. Czegóż się matka boisz? Mnie nie złapią, a że tam jednej baby mniej na świecie, to i co to komu szkodzi. Zresztą ja tam na sumieniu nic nie mam; sama sobie winna. Prosiłem grzecznie, żeby mi dała pieniędzy, ona nie chciała, no, to też drasnąłem ją sztyletem w serce. Czemuż nie chciała dać pieniędzy? byłaby sobie jeszcze żyła.

W tem usłyszano, że ktoś nadchodzi.

— Ej, matka, czy drzwi od ogrodu nie zamknięte? — zapytał Ludwik niespokojnie i podniósł się z siedzenia. Wyglądał w tej chwili jak dziki zwierz, co się czai, aby skoczyć na łup, albo uciec do nory.

Czerwona Maryna wyjrzała przez okno, a zwróciwszy się do Ludwika, szeptała błagalnie:

— Idź, idź synku, schowaj się. Idzie tu jej córka, Sterneggowa.

Na te słowa wyprostował się Ludwik, przeciągnął się ziewając i rzekł z szyderczym uśmiechem: — Ho, ho, wielka pani. Skoro to ona idzie, to ja tu sobie zostanę.

— Co też ty wyrabiasz chłopcze? Chcesz zgubić i mnie i siebie? Wynoszę się, bo chwyć za garnek i łeb ci rozbije.

To rzekłszy wypchnęła syna do bocznej izby. Za chwilę wyszła Klara, pełna dumy i wyniosłości. Czerwona Maryna przywitała ją uniżonym ukłonem.

— Chciałam zobaczyć dom — rzekła Klara rozkazującym tonem — a szczególnie te pokoje, w których moja ciotka mieszkiała.

— Całe pierwsze piętro opieczętowała komisya sądowa.

Klara wpatrywała się bystro w Czerwoną Marynę i spostrzegła na jej twarzy wielkie zaniepokojenie. To utwierdziło w niej powzięte podejrzenie, że Czerwona Maryna jest sprawczynią zbrodni. Przystąpiła śmiało i energicznie do niej i zapytała ostro:

— Gdzie się podziały pieniądze mojej ciotki?

— Pieniądze?... pieniądze?... a toć zapewne zabrał je baron...

— Nie kłam! baron nie zamordował ciotki i nie zrabował pieniędzy. Ale ty wiesz dobrze, kto to uczynił.

— Ja?... ja?... — szeptała Czerwona Maryna.

— Tyś ją zamordowała!

W tej chwili rozległ się za drzwiami głośny śmiech szyderczy, a zanim Klara opamiętała się mogła, drzwi się otwarły i stanął przed nią Ludwik.

— Uniżony sługa wielmożnej pani leśniczyniey dobrodziejki. Jakże się też cieszę, że panią znowu widzę!

Klara przeraziła się widokiem zuchwałego obdartusa, lecz, wysilając się na energię, zwróciła się do Czerwonej Maryny i zapytała tonem gromiącym:

— Co to za włóczęga? jak śmiesz w tym domu przyjmować takich ludzi?

— Ależ to mój syn, Ludwik, proszę wielmożnej pani.

— Jakto, ten obdartus twoim synem?

Ludwik włożył ręce w kieszenie, zbliżył się do Klary, spojrzał na nią z szyderstwem i rzekł drwiąco:

— Primadonna teatru nie chce poznać swojego kolegi. A przecie przed pięciu laty byliśmy razem w teatrze nadwornym.

— Zuchwalcze jakiś!...

— Ej, ej, nie tak ostro...

— Nikczemniku! Teraz już wiem kto moją ciotkę zamordował i zabrał jej pieniądze. W tej chwili zawołam służbę i każę cię uwięzić.

— Zlituj się wielmożna pani! — zawołała Czerwona Maryna i rzuciła się Klarze do kolan. — A ty Ludwiku uciekaj, uciekaj syneczku, ratuj się jak możesz.

— Ej, kłoby tam uciekał! Za pozwoleniem łaskawa pani! Zanim primadonna każeś mnie uwięzić, posłuchaj co ci powiem. Jeżeli nie będziesz trzymała języka za zębami, to opowiem ciekawą historyjkę o baletniczce Elwirze i wtedy pójdę do więzienia, ale i ty ze mną, koleżanko.

— Łotrze! kłamiesz bezczelnie!

— Ej, nie tak bardzo, jak ci się zdaje, koleżanko. Dzisiaj masz księcia, a wtedy miałaś tylko hrabiego. Ale ten hrabia spoglądał łakomie na baletniczkę Elwirę, a ciebie pożerała zazdrość. Otóż raz tak było, że hrabia przyniósł jej za kulisy wspaniały bukiet, no i... Elwira dała mu zato... buzi. Zobaczyłaś to czcigodna primadonno i wściekłaś się ze zazdrości. Skoro tylko hrabia wyszedł, posłałaś na pauzie między aktami do garderoby baletniczki, wyrwałaś jej bukiet hrabiego i biłaś tym bukietem baletniczkę po twarzy. Ona się zaszłaniała rękoma, broniła, a potem zaczęła przed tobą uciekać. Ty za nią i dopadłaś ją w miejscu, gdzie był otwór w scenie, przygotowany dla duchów do następnego aktu. Obejrzałaś się dokoła, zdawało ci się, że nie było nikogo, więc strąciłaś Elwirę w przepaść, a ona tam, głęboko pod sceną, rozbiła sobie głowę na zębach od windy. Ja byłem za kulisą i widziałem to. Jeżeli nie będziesz trzymała języka za zębami, to ja to powiem twojemu księciu.

Klara stała bezwładna, drżąca, przerażona; spoglądała na włóczęgę osłupiałym wzrokiem, a on uśmiechał się szyderczo i pewien swego zawołał:

— A teraz idź moja pani i każ mnie uwięzić.

Rozpacz ogarnęła Klarę. Wobec tego wstretnego człowieka była zupełnie bezbronna; mógł ją zgubić. Z największym wysileniem panowała nad sobą, żeby nie okazać lęku. Wstręt, przerażenie i rozpacz starała się pokryć wyniosłą obojętnością i, nie odpowiadając na zuchwałe słowa Ludwika, zwróciła się ku drzwiom.

— O, za pozwoleniem łaskawa pani; tak się przecie nie rozstaniemy. Z kochaną koleżanką chciałbym się pogodzić. Bo to widzisz primadonno, my oboje możemy sobie podać ręce i żyć w przyjaźni.

— Dość już tego szaleństwa!

— Ej, ej, po co tu te gniewy? Szkoda czasu na takie ceregiele. Moja pani kochana, ja ci wprost powiem, że nie wyjdiesz stąd, dopóki się nie ułożymy. A układ bardzo prosty. Oto ja nie powiem nikomu o tej przygodzie baletniczki, a ty koleżanko

podarujesz ten dom mojej matce z całym urządzeniem. Uczynisz to u notaryusza, porządnie, jak należy, a powiesz, że to czynisz przez wdzięczność dla mojej matki za to, że była długoletnią, wierną, przywiązaną sługą twojej ciotki.

Klara, nie odpowiadając, chciała wyjść.

— Ej, jakżeś to niecierpliwa primadonno. Jeszcze nie koniec. Oto za pół roku musisz sprzedać dobra Adlersfeld, które ci po ciotce przypadły, i mnie wypłacić gotówką połowę tych pieniędzy, które za nie weźmiesz. Tak, to ostatnie moje słowo. Pozwalam ci się namyślić do jutra. Jutro mi dasz odpowiedź przez twoją pokojówkę, a moją siostrę, Rózię. A teraz nie zatrzymuj.

Klara wyszła na pół nieprzytomna z oburzenia i lęku, ale panowała nad sobą do ostatniej chwili.

## W więziennej celi.

— Panie sędzio — mówił Sternegg stanowczo i spokojnie — powiedziałem prawdę, uczciwą prawdę, jak uczciwym było życie moje.

— Nie po to przyszedłem tu, byś mnie zbywał, panie Sternegg, pustymi frazesami — rzekł prokurator. — Umyślnie odwiedzam pana w celi więziennej, abys pod wrażeniem tych krat, tych sklepień, tej grozy więziennej, wyznał mi szczerą prawdę. Książę pan niezawodnie ułaskawi cię, mój panie Sternegg, ale sąd musi wiedzieć prawdę.

— Już ją zeznałem w śledztwie, już ją powtórzyłem tyle razy i nic innego wyznać nie mogę.

— A więc obstajesz pan przy tem, uparty człowieku, żeś nie miał zamiaru godzić na życie księcia?

— Tak; nie miałem zamiaru zabić księcia, miłościwie nam panującego.

— A więc kogóż zabić chciałeś?

— Uwodziciela mej żony.

— A tym był?

— Książę Ferdynand, następca tronu.

— Ależ to szalony, niegodziwy wymysł! Książę Ferdynand stanowczo temu przeczy; również żona pańska gotowa przysięgać, że to oszczerstwo. Takimi wymysłami znieważasz pan następcę tronu i zniesławiasz własną żonę.

— Boże! Boże! Co się dzieje? Podłością jest uwodzić cudzą żonę, a jeszcze większą być tchórzem niktzemnym. Niech tu stanie mi w oczy, planę nań, powiem mu... podły, podły, podły! O tej ścierece już nie mówię, ściereka, suka...

— Milczeć! Za taką obrazę następcy tronu straciłbyś prawo do ułaskawienia.

— A niechże mnie i porąbią w kawały. Będę mówił, będę, bo mnie tu w gardle dławi. Dlatego, by się nie wydały przed światem miłości następcy tronu, dlatego, żeby ludzie nie sarkali na zepsucie księcia i na krzywdę mi wyrządzoną, to może tu trzeba gnić w więzieniu, to ze mnie trzeba zrobić mordercę, zbrodniarza.

— A milczeć nieszczęśliwy człowieku... Wszakże to szaleństwo, co pan wyrabiasz.

— A boć to przecie oszaleć można! Znajduję list gacha, czytam, wyraźnie napisany, schadzka umówiona...

— Wciąż prawisz o tym liście, a nikt go nigdzie nie znalazł, mimo, że najdokładniej przepatrzone każdy kąt mieszkania.

— A jednak był list, czytałem go, był, jak Bóg na niebie!

— A choćby i tak było, to przecie wpadłszy na miejsce mogłeś pan być zaraz dostrzedz, że nie następca tronu stoi przed tobą, jeno sam panujący książę.

— Ależ na Boga, panie prokuratorze, czyż ja miałem czas przypatrywać się? Nie zastaję w domu żony, dziecko umiera, wpada mi w ręce ów list przeklęty, więc tracę zmysły, w głowie szumi, ciemno w oczach. O! kto nie miał w swem życiu takiej godziny, jak ja wtedy, ten nie zrozumie nic, nic, nic...

I łkanie głos mu zdławiło i charezał bólem i jękiem i włos targał z głowy.

Prokurator spojrzał liłościwie, położył dłoń na jego ramieniu i rzekł łagodnie:

— Uspokój się, biedny człowieku. Sąd poleci pana książęcej łasce. Pozwolono też, aby córka cię odwiedziła.

— Moja córka! moje biedne dziecko! O, dziękuję, stokrotnie dziękuję.

Wyszedł urzędnik, spojrzawszy ze współczuciem na Sternegg, a za chwilę wpadła Hania.

— Tatusiu! ojczulku mój najdroższy! — zawołała Hania rzuciwszy się ojcu na szyję i zalała się łzami.

Dozorca więzienia zostawił drzwi od celi otworem, aby można było i widzieć i słyszeć, co tam robią i mówią, lecz usunął się, lży otarł i usiadł